

Więźniowie mają swój język, bo niewola w nich budzi spryt, a potrzeba jest matką wynalazków.

Dnia tego jeszcze Ilonka otrzymała odemnie bilecik:

„Jutro wstań rano, nie patrz na dziedziniec, tam stracą jednego z więźniów; Stefan chory, o piątej zagraj mu Marsza Rakoczego“.

I nadszedł fatalny ranek. Stefan błądy i drżący, kończył wraz ze mną i księdzem ostatnie modlitwy. Była blisko piąta. Drżałem; serce mi się ścisnęło, nie z żalu jednak, — z obawy, aby mu odwagi nie zabrakło. Stroilem go w dolman węgierski i w kołpak z pióropuszem, jak stroi matka ukochane swe dziecko w dzień świąteczny; przerażał mnie jednak: nogi ugięły się pod nim, drżał, jak w febrze.

Nagle ozwały się pierwsze akordy Marsza Rakoczego, uśmiechnąłem się, spojrzałem na Stefana, wyprostował się jak struna, oko zapalało mu dziwnym ogniem, ręka mimowoli sięgnęła do prawego boku... i ujrzałem go takim, jakim widzieć pragnąłem — bohaterem!

— Niech żyją Węgry! — wrzasnąłem ponad uchem.

— Niech żyją! — powtórzył, zdejmując kołpak z głowy, i szedł jakby na bal, a nie na szubienicę.

Muzyka nie ustawała, ale była mu raczej weselnym marszem, aniżeli pogrzebową nutą.

— Patrzcie! patrzcie! tak umierają Węgrzy za ojczyznę swoją! — szeptało wśród żołdaków niemieckich — szkoda go! taki dzielny a piękny!

A on, z podniesioną do góry głową z uśmiechem na ustach, szedł pewnym krokiem naprzód.

Muzyka brzmiała coraz gwałtowniej, on coraz prędzej idzie. Zdjął jeszcze raz kołpak, odwrócił oczy w stronę okna, skąd ożywcze płynęły jej dźwięki. Uśmiechnął się łagodnie i powiedział nie wiele:

— Kocham cię! Niech żyją Węgry!

I nie dodał już nic więcej... zawiśnął na sznurku — skonał!

Węgry dumne były z takiego syna.

A Ilonka, mój dziadku? — pytałem — cóż się z nią stało, gdy się dowiedziała o wszystkim,

— Ilonka? wychowała później kilku synów, którzy, tak jak Stefan umierać potrafili; piastowałem ich na swoich własnych rękach i Marsza Rakoczego im śpiewałem.

Tu dziad mój podniósł się z kamienia, torbę przez plecy zarzucił, kij ujął w silne dłonie i szepnął mi na pożegnanie:

— Bądźcie zdrowi, a wspomnijcie se czasem o tej prawdziwej historii.

Odszedł; nie ruszyłem się z miejsca długo. Dziad o parę kroków odemnie zanucił nieśmiertelną pieśń swego narodu.

Westchnąłem. Czy wiecie nad czym? Że takiego dziada, któryby takie piękne opowiadał bajki, nie udało mi się spotkać na moim rodzinnym zagonie.

Bo piękna była to bajka!

MARYLA OL.

## Nirwana.

Hen z poza lasów tajemnych przestrzeni,  
Płynie tęsknota ku minie nieskończona  
W godzinę zmierzchów — po szarej zieleni.

W swoje ramiona porywa mnie samą  
W świat beznadziejnych, nieskończonych pra-  
[gnień,  
W dal snów i marzeń, cichą, promienną...

Gdzie milknie struna życia codziennego  
I ból spłoszony wszechżyciem ulata  
I niknie troska chleba powszedniego. —

Tam gdzie wieczysta, cicha, nieprzerwana,  
Od jasnej zorzy do błasku miesiąca,  
Senna, potężna milczeniem, „nirwana“. —

## Z muzyki.

(Pierwsze wystawienie „Tannhäusera“ w Wiedniu, dnia 27. sierpnia 1857 r.).

Wiekopomny rok 1848, który na wszystkich polach nowe wywołał życie, na wiedeńskich stosunkach muzycznych nie wyrzucił piętna postępu. Najwyraźniej w latach pięćdziesiątych uwidocznił się konserwyzm w sali koncertowej, od której zdala trzymano wszystko, co nie nosiło na sobie marki Haydna, Mozarta i Beethovena. I sławetny teatr przy Kärntnertor czujnie rozstawił straż, by nie budzono go z pięknego snu legendowego. Dramatyczne dzieła niemieckich mistrzów tonów nie doczekały się tu wprawdzie większej liczby przedstawień, ale za to z tem większym rozma-



Z WYCIECZKI DO ŻŁOCZOWA KÓŁKO AMATORSKIE „GWIAZDY“ W ŻŁOCZOWIE.

(Fot. Skórkowski w Żłoczowie).